

bem na spełnione życie – słuchaczy urzekli historią o wędrownym lodowatym szlakiem oraz niezwykłą opowieścią o kulturze tybetańskiej. Robert Makłowicz zaprezentował czar egzotycznych potraw z całego świata. Mieczysław Bieniek opowiadał, jak pomimo przeciwności losu (pracując jako górnik, został ranny w wypadku i nigdy nie mógł powrócić do pracy) postanowił spełnić swoje marzenie i ruszyć autostopem w podróż po Azji. Z okazji pięćdziesiątych urodzin postanowił wybrać się w podróż do samego Dalajlamy.

Na uczestników Travenaliów czekało mnóstwo cennych nagród, a wśród nich

bilet lotniczy w dowolne miejsce na świecie ufundowany przez Primapol Travel. Atrakcją była także możliwość rozmowy z załogą jachtu przemierzającego wody arktyczne czy zakwalifikowanie się do ekipy planującej na przyszły rok wyprawę dookoła świata.

Na festiwalu nie zabrakło też imprez towarzyszących. W klubie Kijów wystąpiła grupa taneczna Tamtamitutu, która w trakcie występów łączy body painting, etniczne stylizacje, tańce pierwotne i energetyczną muzykę perkusyjną. Odbił się także pokaz filmu o żeglarskiej wyprawie przez Przejście Północno-Zachodnie, zatytułowanego

*W poszukiwaniu legendy – QNT Northwest Passage* w reżyserii Konstantego Kulika. Ponadto w Piec Art Acoustic Jazz Club odbył się koncert brazylijskiego Bartosa Trio.

Impreza miała charakter niekomercyjny i otwarty. Festiwal podróżniczy Travenalia odbywał się pod honorowym patronatem rektora UJ prof. Karola Musioła. Organizatorem przedsięwzięcia był Uniwersytet Jagielloński przy współpracy: Samorządu Studentów UJ, Akademickiego Klubu Turystycznego „Rozdroże” oraz Fundacji Studentów i Absolwentów UJ „Bratniak”.

**AWoj**



## CENA ZWYCIĘSTWA

Ostatnie dni maja 2010 roku. W Krakowie powódź, zajęcia odwołane, a ja siedzę w Instytucie Socjologii i na ostatnią chwilę wpisuję studentom zaliczenia. W domu czeka już plecak spakowany na wyprawę na Nanga Parbat. Przede mną pierwsza szansa spróbowania swoich sił na himalajskim ośmiotysięczniku. Później w planach jest kolejna ekspedycja, w Tien-Szan, na siedmiotysięczny Pik Pobedy, a następnie jeszcze jeden wyjazd, w Kaukaz, na zawody biegowe na Elbrusie. Jeśli ten plan w wersji maksimum uda się zrealizować, do Polski na

dłużej niż kilka dni zawitam dopiero przed pierwszym październikiem.

Wyprawa na Nanga Parbat kończy się sukcesem. Na szczycie staje trzech uczestników spośród dwunastoosobowego składu: Artur Hajzer, Robert Szymczak i Marcin Kaczkan. Ja na kolejną szansę muszę poczekać. Może za rok.

A. Dzik



Widok na Pik Pobedy

Zespół na szczycie, od lewej: Krzysztof Starek, Aleksandra Dzik, Jakub Hornowski



K. Starek

Zaledwie dziewięć dni od powrotu z Pakistanu jestem już w samolocie do Kirgizji. Zamierzam dołączyć do polskiej ekspedycji na Pik Pobedy. „Szczyt Zwycięstwa”, niezdojony jeszcze przez Polkę, ma sławę jednej z najniebezpieczniejszych gór na świecie i słynie ze złowrogiej statystyki. Na szczyt wyruszyć mamy w piątkę: Kuba Hornowski, Wojtek Kozub, Daniel Piskorz, Krzysiek Starek i ja. Paulina Kozub i Ada Jaszczyńska, które wcześniej wspinały się z chłopakami na pobliskim siedmiotysięczniku Chan Tengri, teraz będą czekać na nas na dole.

17 sierpnia, w piękny słoneczny poranek, czekamy na helikopter, który zawiezie



A. Dziak

Panorama z grani Piku Pobiedy

nas ma do bazy na lodowcu Inylczek Południowy. Nagle dowiadujemy się, że nasz lot będzie opóźniony. Po drugiej stronie Chan Tengri zeszła lawina seraków. Helikopter najpierw zawozi na miejsce lokalnych przewodników, pełniących w razie potrzeby funkcję ratowników. Za późno... Zginęła dziewczyna z Polski, jej narzeczony cudem przeżył. Druga ofiara śmiertelna to Włoch. Gdy w końcu i my lądujemy w bazie, możemy tylko pomóc w formalnościach. 19 sierpnia helikopter zabiera ciało dziewczyny. Chwilę później my opuszczamy bazę, kierując się w stronę Piku Pobiedy. Nastroje nieszczerłone. Zły znak? Nie, nie wierzymy w takie rze-

czy. Przecież twardzi jestełmy. Tylko czasem jakiś sen, przecucie mówi, żeby nie iść, wracać.

Ostatecznie na „Pobiedę” wyruszamy w czwórke, w dwóch zespołach: Kuba i Krzysiek oraz Wojtek i ja. Po dniu wędrówki nocujemy w obozie I na około 4500 metrów n.p.m. Nazajutrz rano pokonujemy lodospad, wyjątkowo wymagający w tym roku. Rocznicą *Wielkiej Pobiedy*, czyli zwycięstwa ZSRR w drugiej wojnie światowej, przyciągnęła na górę wielu alpinistów, nie zawsze należycie przygotowanych. Toteż już na tym początkowym etapie wspinaczki pojawiają się problemy – tworzą się „korki”, lód, strącany przez

wspinających się wyżej, spada na czekających poniżej. W efekcie wolnego tempa nasz kolejny biwak wypada nie, jak planowaliśmy, w obozie III na 5800 metrów, lecz kilkaset metrów niżej – w „dwójce” na przełęczy Dziki.

Nazajutrz szybko osiągamy „trójkę”. Tutaj niespodzianie rezygnuje i zawraca Wojtek. Ruszamy dalej w pomniejszonym składzie, z jednym dwuosobowym namiotem. Przechodzimy skałki z linami poręczowymi pamiętającymi wiele sezonów. Późnym popołudniem, wykończeni, rozstawiamy nasz przyciasny domek w obozie IV na wysokości 6400 metrów n.p.m. Pogoda wciąż przepiękna. Jak na „Pobiedę” zbyt piękna, bezwietrzna i zbyt długo się trzyma. Albo dane nam będzie niewiarygodne szczęście i wytrzyma jeszcze tych kilka dni, albo góra pokaże pazury.

Kolejnego słonecznego dnia szybko i bez przeszkód osiągamy obóz V na wierzchołku Pobiedy Zachodniej. Śpimy w jamie śnieżnej. O piątej rano wraz z kilkunastoosobową grupą wspinaczy z krajów byłego ZSRR wyruszamy na szczyt. Po niespełna dwóch godzinach marszu łatwą granią jestełmy przy skale zwanej Obeliskiem. Tutaj zostawiamy depozyt: namiot, dwa kartusze gazu, jedną karimatę, jeden śpiwór i dwie porcje dania liofilizowanego. To na wypadek, gdybyłmy nie zdążyli wrócić dziś do obozu V. Na razie w znakomitej pogodzie, formie i nastrojach pniemy się na główny wierzchołek. Około



Wspinaczka w kuluarze na Nanga Parbat

A. Dziak



Widok na Nanga Parbat

dwie godziny drogi od szczytu wszyscy zostawiamy plecaki pod skałą zwaną Żandarmem i „na lekko”, związani w kilka zespołów linowych, pokonujemy ostrą grań. 23 sierpnia około 12.40 jesteśmy na szczycie. Tym samym jestem pierwszą Polką na Piku Pobedy oraz pierwszą reprezentantką naszego kraju, która skompletowała pięć siedmiotysięczników byłego ZSRR, dających tytuł Śnieżnej Pantery. Krzysiek i Kuba są w pierwszej dziesiątce polskich zdobywców szczytu.

Jednak teraz nikt nie myśli o radości i gratulacjach. Na to przyjdzie czas po zejściu. Na razie zdjęcie z polską flagą, w tył zwrot i na dół. Próbujemy połączyć się z kolegami w bazie, jednak łączność jest kiepska, nie udaje się podzielić radosną wiadomością, później kontakt całkowicie się zrywa. Tymczasem od strony chińskiej, znad pustyni Takla Makan, szybko nadciągają ciemne chmury.

W zejściu zaczynają się kłopoty. Ktoś idzie wolno, ktoś się boi, ktoś słabnie i siada – grań się „korkuje”. Zanim wszyscy docieramy do Żandarma, widoczność jest już zła i mocno wieje. Schodzimy najszybciej, jak to możliwe. Gdy jesteśmy przy Obelisku i naszym depozycie, mimo że warunki wciąż się pogarszają, jesteśmy spokojniejsi. Przecież do obozu tak niedaleko. Ruszamy za pozostałymi, jako ostatni. Jest ciężko, tracimy grupę z oczu, wiatr zawiewa ślady, ale nadal jesteśmy pewni, że tę noc spędzimy w jamie w obozie.

W pewnym momencie nie widać już jednak ani ludzi, ani śladów. Jeden fałszywy krok w prawo skończy się upadkiem wraz z nawisem na stronę kirgiską, krok w lewo osunięciem się na stronę chińską. Szybka decyzja – rozstawiamy namiot i czekamy na poprawę.

Pierwsza noc. Pierwszy dzień. W puchowych kombinezonach leżymy na karimacie i plecakach, zamrożony śpiwór niewiele pomaga. Łączności brak. Łudzimy się, że ktoś po nas przyjdzie, choć wiemy, że to nierealne. Śnieg zasypuje nas po dach, wdziera się do środka, namiot, mimo częstego odkopywania, kładzie się na nas, nie możemy rozpaść kuchenki, oddychać. Z obojętności

wybija nas Krzysiek, motywuje do wyjścia, przestawienia namiotu. Jest lepiej.

Druga koszmarna noc. Drugi dzień. Zawieszeni między tym a tamnym światem, jakby wyrwani z czasoprzestrzeni. Coraz trudniej uwierzyć, że się stąd wydostaniemy. A jednak wierzymy.

Trzecia noc. Trzeci dzień. Skończył się gaz i jedzenie. Nadal wieje, ale momentami się przejaśnia. Porzucamy strzępy namiotu i ruszamy ku Zachodniej Pobiedzie. Odwrotu nie ma. Kilkaset metrów w śniegu głębokimi miejscami po szyję. I nagle zgroza. Pod skałą leży martwy człowiek. Jeden z tych, za którymi schodziliśmy. Później dowiemy się, że za kamieniem

M. Słojny

Aleksandra Dzik i Andrzej Bargiel, zwycięzca wśród mężczyzn podczas zawodów Elbrus Race



leży drugie ciało. A więc oni też nie dotarli do obozu i tutaj zabiwakowali. Od miejsca, gdzie leżą zwłoki, zaczyna się świeży ślad, najwyraźniej należący do tych, którzy przeżyli. Dzięki śladom docieramy do obozu. Na ostatnią chwilę, bo pogoda znów się pogarsza.

Tutaj uwięzieni są wszyscy ocaleli, kilkanaście osób. Ogromny opad śniegu zasypuje jamy. Gaz i jedzenie są na wykończeniu. Długie przebywanie na wysokości daje się we znaki. Kilka osób choruje. W działaniu grupy wkrada się chaos. Nazajutrz po naszym przyjeździe, mimo fatalnej pogody, zapada decyzja o zejściu. Ale wychodzić o 15.00? Nie. My zostajemy, poprawiamy jamę, gotujemy, odpoczywamy. Mieliśmy rację – alpinści wkrótce wracają, wykończeni tłoczą się w jamie, niektórzy tracą nadzieję.

Kolejny poranek, 28 sierpnia, pogoda nieco lepsza. Ruszamy wszyscy w dół. Dwóch Rosjan wykonuje nieocenioną pracę – torują w śniegu po szyję, przekopując łopatą drogę w dół. Dwie inne osoby mają objawy obrzęku mózgu. Trzeba je jak najszybciej sprowadzić niżej, podanie leków daje jedynie trochę więcej czasu. Ja pomagam w zejściu Andriejowi z Uzbekistanu, Krzysiek i Kuba Alikowi z Uralu i jego grupie. Tego dnia udaje nam się jednak dotrzeć tylko jeden obóz niżej, na 6400 metrów n.p.m. Tu nocujemy w dziesięć osób w trzysobowym namiocie. Koszmar. Ludzie schodzą na najniższy poziom funkcjonowania, walcząc bezwzględnie o odrobinę przestrzeni, o możliwość rozprostowania nóg.

Rano Krzysiek i Kuba, którzy noc spędzili w przedśionku, jako pierwsi muszą

opuścić namiot. Jest bardzo zimno. Krzysiek rusza na dół, podobnie większość grupy. Wiemy, że po południu na plateau pomiędzy obozem I a II przyleci po nas wszystkich helikopter. Tylko trzeba na niego zdążyć. Drugiej szansy nie będzie, jutro ma się załamać pogoda, a lodowiec, z powodu największego od ponad pół wieku opadu, jest nie do przejścia. Na razie na resztkach gazu robię picie dla Andrieja i siebie, wychodzimy jako jedni z ostatnich. Jest źle. Andriej przewraca się, traci równowagę. Za którymś upadkiem pociąga mnie za sobą. Wisimy oboje na moim czekaniu, lina, owinięta przez ramię, zaczyna mnie dusić. Tylko dzięki szybkiej interwencji Kuby nie dołączam do czarnej statystyki góry.

Teraz już wiem, że Andrieja nie uda się uratować. Leki nie pomagają, nie mamy tlenu, ludzi, nie mamy czasu. Zostawić go i pędzić na helikopter? Albo zostać do końca, ryzykując, że się na lot nie zdąży? Tu nie ma dobrej decyzji. Trzeba podjąć najlepszą ze złych. Kuba, który jest poważnie podmrażany i ledwo trzyma się na nogach, idzie na dół. Ja zostaję.

Nie wiem, ile to trwa. Nie mogę nawet poczekać do ostatnich chwil, bo gdy Andriej jest już nieprzytomny, pojawia się drugi z chorych, Alik. Schodzi ostatni, co chwila traci równowagę, zaraz spadnie. Jemu jeszcze można pomóc. Rzucam ostatnie spojrzenie w stronę konającego Andrieja i zaczynam sprowadzać Alika. Niżej czekają jego towarzysze. Wspólnie sprowadzamy go dalej. W pewnym momencie słyszemy silnik śmigłowca. Czyli polecili...

A jednak nie polecili. Gdy późnym wieczorem docieramy na przełęcz Dzi-

ki, zastajemy biwakującą tam całą grupę. Helikopter zrzucił tylko gaz i żywność, po ludzi przyleci jutro.

Rankiem 30 sierpnia 2010 roku schodzimy na plateau. Niektórzy nie są w stanie o własnych siłach iść, udeptywać łądowiska. Wkrótce nadlatuje ogromny wojskowy Mi-8. Zabiera wszystkich ocalałych z białego piekła tej przeklętej góry wprost do zielonego raję stepów Kirgistanu.

\*\*\*

Na początku września przylatujemy do Polski. Kuba wrócił wcześniej i jest już w szpitalu. Krzysiek i ja mieliśmy więcej szczęścia. Jednak moje odmrożone palce nie nadają się raczej do udziału w wyścigu na pięciotysięcznik, na dystansie, którego nie pokonała dotąd żadna kobieta. Mimo wszystko jadę. Chcę znów znaleźć się w wirze walki, sportowej rywalizacji, zapomnieć o Pobjedzie i o tym, co się tam stało.

24 września na zawodach Elbrus Race Polacy odnoszą druzgoczące zwycięstwo. Andrzej Bargiel trasę o przewyższeniu ponad 3300 metrów pokonuje w 3 godziny i 23 minuty, poprawiając wcześniejszy rekord o ponad pół godziny. Mnie udaje się przebyć ten dystans jako pierwszej reprezentantce płci żeńskiej, ustanawiając rekord kobiety: 5 godzin i 4 minuty.

Wyprawy na Nanga Parbat i Pik Pobjedy, jak również wyjazd Polaków na Elbrus Race odbyły się w ramach narodowego programu Polski Himalaizm Zimowy.

**Aleksandra Dzik**

doktorantka w Instytucie Socjologii UJ



## ZAWODY ROWEROWE

16 października 2010 roku odbyła się kolejna edycja Zawodów Rowerowych o Puchar Przewodniczącego Rady Szkoły Medycznej dla Obcokrajowców prof. Piotra Laidlera.

W zawodach uczestniczyło 77 zawodniczek i zawodników z wszystkich wydziałów CM UJ. Impreza odbyła się w Krakowie, w Prokocimiu. Ładna pogoda, ciekawa trasa, sportowa rywalizacja oraz zakończenie przy wspólnym grillu pozostawią dobre wspomnienia.

Nagrody wręczyli prof. Piotr Laidler i kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu CM UJ Elżbieta Gajos.